

## BARBARA HOLLENDER

Rok 2010 pełen jest kataklizmów i tragedii, także tej smoleńskiej. Lech Majewski wprowadza więc swojego bohatera w kolejne kręgi piekieł, ale życie niesie potrzebę oczyszczenia.

# IDĘ DO HOLLYWOOD, ALE NA MOICH ZASADACH

**J**est poetą, pisarzem, malarzem, twórcą wideo-artów, reżyserem, a nawet współkompozytorem opery. Ale gdy pytam, która z tych ról jest dla niego najważniejsza, mówi:

- Etykiety nie mają znaczenia. Po prostu zapisuję świat tak, jak go widzę. Czasem słowem, czasem kamerą, czasem przy pomocy aktorów lub śpiewaków na scenie.

Nie jest jednak zwyczajnym fotografem. W jego zapisie rzeczywistości jest magia rodząca się z przeżycia, z mierzenia się z lękiem i śmiercią, z odnajdywania archetypów i odczytywania symboli, z zanurzenia się w kulturze i wejścia w mechanizmy historii.

W Polsce Lech Majewski jest outsiderem. Na świecie ma silną pozycję. Wykłada na najlepszych uniwersytetach, fetują go najbardziej prestiżowe centra sztuki nowoczesnej i muzea. Jest najmłodszym artystą, który miał retrospektywę w nowojorskim Museum of Modern Art.

Mógł robić karierę w Hollywood, ale wybrał inną drogę. Jak dzisiaj ze swoim nietatwym kinem Majewski czuje się w świecie, w którym publiczność jest rozleniwiona, nastawiona głównie na rozrywkę i komercję?

- To trochę sytuacja Don Kichota - mówi. - Ale mam sporo satysfakcji. Nagle jakiś Niemiec opowiada mi, że jego siostra pracuje jako nauczycielka w Tomsku na Syberii i tam zobaczyła mój film. Ku mojemu zaskoczeniu odkrywam zresztą, że moje filmy mają coraz szerszą widownię. „Młyn i krzyż”, kręcony dla trzech muzeów: Luwru, Prado i waszyngtońskiego Smithsonian, trafił na ekrany w blisko 70 krajach. W Paryżu, w ulubionym kinie Sartre'a Arlekinie, na rogu bulwaru Saint-Germain i rue du Reine, siedł codziennie przez 14,5 miesiąca. Czym to tłumaczyć? Nie wiem. Może zaczynamy tęsknić za przeżyciem głębszym, niż oferuje kino akcji?

Na ekrany wchodzi właśnie jego „Onirica”. Kino bolesne, pełne symboli, wtopione zarówno w polską codzienność, jak i kulturę europejską. Bohater filmu przeżył wypadek, w którym zginęli jego przyjaciel i narzeczona. Teraz ani inni ludzie, ani wiara nie są w stanie mu pomóc. Ukojenie przynosi tylko sen. I Dante, dzięki któremu próbuje zrozumieć świat. Zwłaszcza że życie

- rok 2010 pełen kataklizmów i tragedii, także tej smoleńskiej - wprowadza go w kolejne kręgi piekieł i niesie potrzebę oczyszczenia.

- Kilka lat siedziałem nad „Boską komedią” - mówi Majewski. - Analizowałem każdą pieśń, wczytywałem się w didaskalia, tam przecież przy każdej linijce jest przypis, który trzeba przestudiować. Lubię tę epokę. A tu nagle znalazłem jej oddźwięk w Polsce roku 2010. Kończyłem wtedy w Warszawie „Młyn i krzyż”,

miałem mieszkanie wynajęte na Krakowskim Przedmieściu i przed moimi oknami przetaczał się cały polski korowód. Tłum, który stał tam dzień i noc. Podobna jedność pojawiła się przedtem w momencie wybuchu „Solidarności”. I po śmierci Jana Pawła II. W kwietniu 2010 roku zobaczyłem Polaków razem. Jedną rodzinę pogrążoną w ogromnym bólu. Potem przerodziło się to w grę polityczną, w agresję, która trwa do dzisiaj. Przypomniało mi to sytuację Dantego. I walkę między stronnictwami gibelinów i gwelfów, wzajemnie się wyniszczających. Zaowocowała ona też wyrokiem śmierci dla Dantego, który nie mógł wrócić do rodzinnej Florencji z misji pojednawczej w Rzymie. Dlatego powstała „Onirica”.

Film stał się opowieścią o przeżywaniu straty, ale też o próbie szukania w zdegradowanym świecie jakiegokolwiek ulgi i nadziei.

W „Onirice” reżyser wraca do własnej traumy. Był kiedyś w sytuacji swojego bohatera. Przed laty brał udział w wypadku, w którym zginęły dwie bliskie mu osoby.

- Przeżyłem własną śmierć - wyznał mi kiedyś. - Mnie uratowano, chociaż siedziałem na najgorszym miejscu, obok kierowcy. Ale to był straszny szok. Umierałem razem z nimi.

Po latach, gdy go o to pytam, nie chce już wygrzebywać z pamięci tamtych chwil. Mówi tylko:

- Wszystkie moje filmy są osobiste. W każdym sięgam do własnego życia.

## Ważna droga do łodzi

**U**rodził się 30 sierpnia 1953 roku w Katowicach. A że po śmierci Stalina na trzy lata polskiemu miastu nadano jego imię, w akcie urodzenia małego Lecha wpisano „Stalinogród”. Gdy wiele lat później wystąpił o amerykańskie obywatelstwo, długo musiał tłumaczyć urzędnikowi, że nie jest Rosjaninem.

Rósł w inteligenckiej rodzinie.

- Tata był absolwentem przedwojennej Akademii Handlowej - opowiada. - Mówił biegle siedmioma językami, pracował w Stalexporcie. Jak miałem 11 lat, mieliśmy jechać na placówkę do Rio de Janeiro. Byliśmy to sobie odbiliśmy, ale ojcu postawiono warunek, że musi wstąpić do partii. Nie wstąpił i nie pojechaliśmy. Potem to sobie odbiliśmy, gdy kręciliśmy „Więźnia z Rio”.

Matka była - jak to się wówczas mówiło - „przy mężu”. Lech ma też starszego o 13 lat przyrodniego brata.

Mieszkali w Katowicach, ale Śląsk Majewskiego był inny niż choćby Kazimierza Kutza.

- Moja mała ojczyzna była bardzo kolorowa - opowiada. - Pamiętam babcię w zapaskach, takie trochę jak z bajki albo malarstwa naiwnego.

Opisał później ten „kraj rodzinny” w powieści „Kasztanaja”, pokazał go w „Angelusie”. Ale kiedy był w liceum, jego Śląsk stał się smutny, czarno-biały. Taki jak „Wojaczek”.

We wczesnej młodości Lech Majewski był oszczepnikiem. To doświadczenie mocno się w nim odłożyło. Nawet kiedy spytałem go o najważniejsze pokoleniowe doświadczenie, odpowiedział:

- Nie uczestniczę w „pokoleniu”. Sport, który uprawiałem, nauczył mnie indywidualizmu. Zrozumiałem, że wynik zależy tylko ode mnie. Jeśli dobrze przepracowałem zimę, to wychodziłem wiosną na boisko i oszczep szybował daleko. Oszczep to cudowna rzecz, bo dobrze rzucony, znika. Wiruje, staje się punktem, pochłania go niebo. A potem wypływa gdzieś jak zapalnik. Jest w tym mistyka. Podobnie jest dzisiaj z moimi filmami. Wyrzucam je z siebie, a one gdzieś lecą.

Dzieciństwo Majewskiego przypadło na przełom lat 50. i 60., wczesna młodość na lata 70. Dzisiaj wielu ludzi odwraca się od tamtego czasu, piętnuje PRL, reżim, system totalitarny. Majewski mówi:

- To jasne, polityki nie znosiłem. Ale, paradoksalnie, w tamtym czasie mieliśmy znakomitą literaturę i kino. Rzeczywistość mało nam ofiarowywała i rekompensowałaśmy to sobie rozwojem duchowym. Nie było tych wszystkich pudelkowatych twórców, „Tańców z gwiazdami” i skoków do wody, więc poziom życia wewnętrzny był nieporównywalnie wyższy. Czekano się na każdą nową książkę z serii Nike, wystawało w kolejkach po karnety na Konfrontacje. Gdy Ingeborg Bachmann przyjechała do Polski, powiedziała: „To jedyny kraj, gdzie kościoły i księgarnie są pełne”. Myśmy w tym PRL żyli jak na najlepszym uniwersytecie: czuliliśmy głód świata, głód sztuki. I ja jestem produktem tego czasu.

Lech pisał, uczył się gry na fortepianie, malował. Po maturze zdał na Akademię Sztuk Pięknych w Katowicach. Ale po roku złożył papiery do szkoły filmowej. W tamtym czasie do Filmówki można było się dostać dopiero po innych studiach, jednak Majewski miał już spory dorobek: wiersze, publikacje, obrazy, fotografie, i przyjęto go.

Czas spędzony w łódzkiej uczelni to dla niego przede wszystkim spotkanie z dwiema indywidualnościami: Wojciechem Hasem i Grzegorzem Królikiewiczem. Ale też przygoda z Bergmanem. Wygrał konkurs na scenariusz etiudą „Zwiastowanie” i w nagrodę - w ramach wymiany między Szwedzkim Instytutem Filmowym i łódzką szkołą - trafił na plan „Twarzą w twarz”.

- Dostałem lekcję pokory - opowiada. - Miałem przedtem praktykę u polskiego reżysera, nazwiska nie powiem, który zrobił skandaliczną chałupę, ale każdy dzień zdjęciowy zaczynał od słów: „Koncentrujcie się, bo kręcimy arcydzieło”. Jadąc do Bergmana, wyobrażałem sobie, że będzie siedział na świetlistym tronie i tylko czasami wskaże coś małym paluszkiem. Tymczasem na planie zobaczyłem faceta, który ani nie wyglądał jak na zdjęciach, ani nie zachowywał się jak mistrz. W przepoconej koszuli sunął na kłęczkach po podłodze: zmieniał zdanie, gdzie postawić kamerę, przesuwał ją wiele razy, szukając jakiegoś mistycznego punktu w przestrzeni. Miałem wrażenie, że to pracownik techniczny. A to był Ingmar Bergman. Wielki artysta zachowujący się jak debiutant, niepewny swojej wiedzy. Komercyjna komedia romantyczna na ogół trafi do widzów niezależnie od poziomu wykonania. Ale jeśli mówimy o kinie artystycznym, to tu nie ma silnych.



MATERIAŁ DYSKUSYJNY



WIEK XX ZROBIŁ DUŻO, BY ZNISZCZYĆ FORMĘ,  
BYŚMY OBCOWALI Z BRZYDOTĄ. I LUDZIE ZAAKCEPTOWALI  
TĘ DEFORMACJĘ. A JA MÓWIĘ SOBIE:  
NIE CHCĘ Z NIĄ ŻYĆ



Sceny w kościele są kłami i zamykają „Onirikę”. Najnowszy film Lecha Majewskiego już w kinach

MATERIAŁY DYSTRYBUTORA

Majewski chciał chodzić własnymi ścieżkami. Od debiutu w 1980 roku. Czas był w Polsce niespokojny. Wszystko wrzało, nadchodziła „Solidarność”, a on wymyślił sobie film o średniowieczu. Dzisiaj „Rycerz” robi wrażenie. To utrzymana w surowym stylu, pełna mistycyzmu opowieść o młodym rycerzu, który wyrusza na niebezpieczną wyprawę, szukając „złotostrunnej harfy” mogącej zmienić zły los jego pogrążonego w chaosie królestwa. Z niepokojącym pytaniem, czy wartości trzeba szukać w świecie zewnętrznym czy w sobie. Ale wtedy taki film nikogo nie interesował.

- Był z innej planety - przyznaje Majewski.

Odwrócili się od niego nawet organizatorzy festiwalu gdyńskiego. Pokazali go o 9 rano, gdy wszyscy jeszcze odsypiają bankiety dnia poprzedniego. Na sali było kilka osób.

- Ale za to jakie! - śmieje się reżyser. - Recenzenci „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, „Hollywood Reporter”, londyńskiego „Time’a”. Dzięki entuzjastycznej recenzji tego ostatniego zostałem zaproszony do Cambridge. Tam poznałem mnóstwo indywidualności świata filmu.

Przygotowywał następną produkcję na podstawie własnej powieści „Kasztanaja”. Poleciał do Londynu, gdzie miał rozmawiać o prawach do wykorzystania utworów Beatlesów i fragmentów „Świętego”. I tam zastał go stan wojenny.

- Dużo jest w moim życiu przypadków, takich nieszczeń-szczeń - mówi reżyser.

A więc takie nieszczeń-szczeń: wystawiał w Teatrze Studio Józefa Szajny „Odyseję” Homera. W podziemiach Pałacu Kultury miał być Hades, autokary Ikarus miały wozić widzów nad Wisłę, gdzie przedstawienie przenosiłoby się na barkę. Stan wojenny przerwał przygotowania, ale przedtem sfilmowała je brytyjska telewizja.

- Kiedy znalazłem się w Londynie, Lindsay Anderson zaprosił mnie na przyjęcie do Pen-Clubu i przedstawił Shivaun O’Casey, córce irlandzkiego dramaturga. A ona od razu wypaliła, że jej ojciec cenil polski teatr, ona też, i widziała niedawno reportaż w BBC o mojej „Odysei”. „Spróbujmy to zrobić w Anglii” - zaproponowała.

Spektakl na Tamizie stał się głośny. Opisała go prasa na całym świecie. Do Majewskiego zgłosił się Michael Hausman, producent m.in. Formana i Scorsese. Polak opowiedział mu o historii z „Kasztanaj”. Młody Ślązak, który po ośmiu godzinach pracy w kopalni marzy o spotkaniu z Brigitte Bardot i Simonem Templarem, zakochuje się w pięknej dziewczynie. Nie jest dla niej odpowiednim

partnerem, więc porywa ją i wiezie do Sopotu. Tam chce jej stworzyć chwilę raju. I Hausman pyta: „Dlaczego nie zamienić Katowic na Pittsburgh, a Sopotu na Hollywood?”. Tak narodził się pomysł „Lotu świerkowej gęsi”.

Obraz okazał się ciekawy i sprawnie wyreżyserowany, pojawił się w Cannes, a dla Majewskiego miał jeszcze dodatkowe znaczenie: Hausman nauczył go, jak się filmy produkuje.

Kolejny dobry przypadek: po premierze „Lotu świerkowej gęsi” zwrócił się do niego producent z Rio de Janeiro. W czasie rozmowy narodziła się idea zrobienia filmu o Ronaldzie Biggsie, uczestniku brytyjskiego napadu stulecia, który żył w Brazylii niemającej z Anglią umowy ekstradycyjnej. „Wieżień z Rio”, w którym Majewski opowiedział o próbie sprowadzenia Biggsa do kraju przez Scotland Yard, odniósł światowy sukces. Ale jego autor powiedział sobie: „Dość”.

- Miałem otwarty Hollywood z jego niewyobrażalnymi pieniędzmi - mówi. - Zdałem sobie jednak sprawę, że nie chcę pracować w komercyjnym kinie.

Już od jakiegoś czasu fascynował go Basquiat. Czarnoskóry biedak, którego praca znalazła się na zbiorowej wystawie razem z pół tysiącem innych. Ale to on, 21-latek, stał się sławny. Jego obrazy zaczęły osiągać zawrotne ceny. Jednak swoją wolność Basquiat znalazł w heroinie. Przedawkował, mając 27 lat. Majewski spotkał go gdzieś na nowojorskich szlakach.

- My, Europejczycy, oglądaliśmy się wstecz i czasem nas to hamuje. Basquiat opisywał swoją rzeczywistość w sposób brutalny i na nowo odkrywał świat. Tworzył jego kronikę.

Po śmierci Basquiata Majewski rozmawiał z kilkudziesięcioma osobami, które spotkały się z młodym artystą, m.in. Francesco Clementem i Vincentem Gallo. Napisał scenariusz pełen bólu. Odkrył agresję ojca, który katował i upokarzał małego Jean-Michela. W narkotykowych przyjęciach u Basquiata brali udział ludzie wciąż żyjący, bogaci, sławni.

- To było pole minowe - opowiada Majewski. - Ojciec artysty zagroził procesem, można się też było spodziewać innych pozwołów. Byłem kryty prawnie, każdy, z kim rozmawiałem, potwierdzał notarialnie autentyczność swojej relacji. Ale nie mogliśmy znaleźć dla filmu dystrybutora. Wiedziałem, że jeśli uprę się przy swojej wersji scenariusza, „Basquiat” nigdy nie ujrzy światła dziennego. A że nie chciałem przekroczyć pewnej granicy ustępstw, za-

oferowałem ten temat Julianowi Schnablowi, który pisał ze mną dialogi. On tekst złagodził i zadebiutował jako reżyser. Sobie zostawiłem tylko status pomysłodawcy i producenta.

## Śląskie powroty

Majewski zaczął coraz częściej wracać do korzeni. Po „Ewangelii wg Harry’ego” - satyrze na współczesną cywilizację, w której nadbałtyckie wydmy imitowały kalifornijską pustynię - w 1997 roku pokazał filmową operę „Pokój saren”. Mówi, że poziom jego wiedzy muzycznej jest podstawowy, ale przez siedem lat miał lekcje fortepianu, opanował też zapis nutowy. I reżyserował opery. W „Pokoju saren” widnieje w napisach nie tylko jako reżyser i scenograf, lecz także jako współautor libretta i muzyki.

Przygotowując się do tego filmu, Majewski trafił do Józefa Skrzeka. Razem eksperymentowali na orkiestrze Opery Śląskiej i od dźwięku do dźwięku, od taktu do taktu powstała opera. Polygram wydała płytę, a międzynarodowe jury w Düsseldorfie spośród 600 utworów wybrało „Pokój saren” do grona 12 oper, które „otwierają okno na nowe tysiąclecie”.

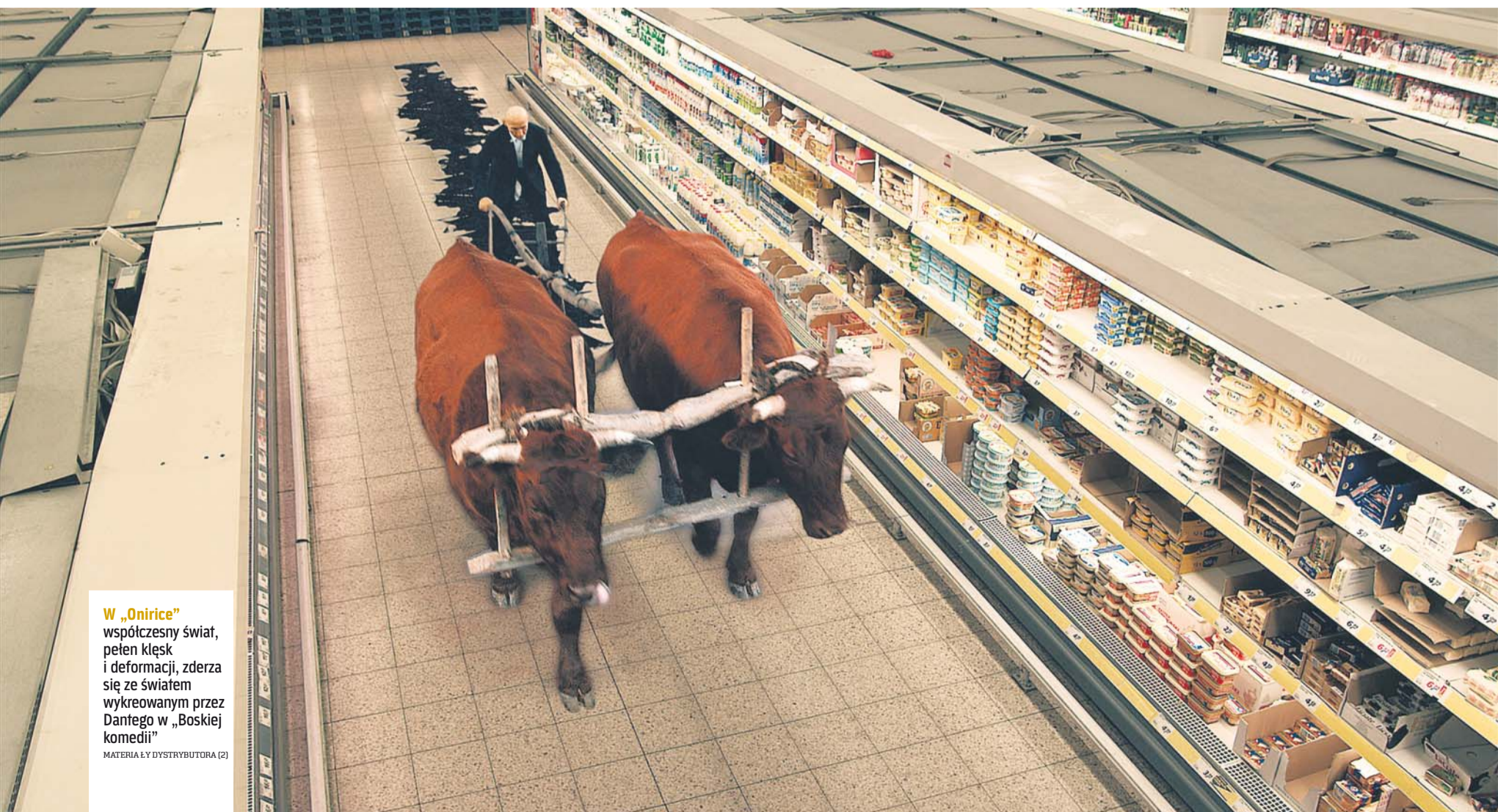
Ale „Pokój saren”, podobnie jak „Rycerz”, w Polsce nie zyskał uznania. W rankingu dziennikarzy na festiwalu w Gdyni zajął przedostatnie miejsce. Za to wyszedł w świat i trafił do najważniejszych muzeów.

Majewski pracował już nad filmem o Wojacku. - Żyliśmy wtedy w Polsce załężnionej - mówi. - Nie wolno było chłapać czegoś niepoprawnego politycznie, nie wolno było się wychylać. A Wojacek nie bał się niczego. Nawet śmierci. Wręcz ją prowokował.

Poeta pisał: „Jest ciemno jest ciemno jak najciemniej mnie nie ma Nie ma spać Nie ma oddychać Żyć nie ma”. Miał dwadzieścia lat i nie mieścił się w ułożonym świecie. Gierkowska Polska wchodziła w okres przyspieszonej konsumpcji. On wylamywał się z hurraoptymistycznej atmosfery. Niepokoił swoim niepokojeniem ze światem i z sobą samym. Za nadwrażliwość, inteligencję i talent zapłacił najwyższą cenę, gdy udręczony popełnił samobójstwo. To był rok 1972.

W „Onirice” współczesny świat, pełen klęsk i deformacji, zderza się ze światem wykreowanym przez Dantego w „Boskiej komedii”

MATERIAŁ DYSTRYBUTORA (2)



- Kiedyś, jadąc na wagary z Katowic do Krakowa, przeczytałem nekrolog Wojaczka i jego wiersz „Ze lampa, że krąg światła...” – mówi mi Majewski. – Ten wiersz przestrzelił mi serce. Zaczęłem Wojaczkiem żyć, pochłaniałem jego poezję. To wszystko ożyło, kiedy w Nowym Jorku przeczytałem o śmierci Basquiata. Wtedy Wojacek wyrwał się z niepamięci, jakby chciał wykrzyknąć: „On był Murzynem, mieszkał w Nowym Jorku, ale przecież jesteśmy podobni”. Napisałem więc scenariusz filmu o Basquiacie, bo w Nowym Jorku odezwał się do mnie Wojacek. A „Wojaczka” zrealizowałem dlatego, że nie udało mi się stworzyć mojej wersji „Basquiata”.

Film Lecha Majewskiego, czarno-biały i ascetyczny, jest jednak czymś więcej niż tylko portretem poety. To opowieść o PRL-owskiej kulturze przełomu lat 60. i 70., o prowokacji. Metafora losu, samotności i udręki artysty wykraczającego poza ramy swego czasu i życia. Ilu jest dzisiaj artystów, którzy chcą porzucić wygodne domy i bez znieczulenia „przejsz przez szybę” ku absolutowi? Majewski poszedł też „śląskim” śladem, robiąc „Angelusa”.

- Chciałem odtworzyć świat, którego już nie ma – przyznaje. – Musiałem to zrobić tutaj, bo nie wyobrażam sobie Toma Hanksa jako górnik z Katowic i Pameli Anderson w roli jego żony.

Powstała pełna metafizyki opowieść o gminie okultystycznej działającej w Janowie w latach 50. Malarz prymitywista Teofil Ociepka i jego koledzy górnicy chcą uratować świat przed zagładą. A w tle jest historia, którą Ślązacy komentują jak domorośli mędrzy z przyzwoitych domów. Jedni „Angelusa” porównują z realizmem magicznym Marqueza, inni z filmami Kutza i Kolskiego. Magia miesza się tu z rzeczywistością, a film zamienia się w rodzaj moralitetu.

- Zawsze ciekawiła mnie tematyka ezoteryczna, a nagle dowiedziałem się o grupie ludzi, którzy zajmowali się okultyzmem, mówiąc po śląsku. W gwarze mówili o wibracjach z kosmosu. Zadziałało prawo kontrastu. Odnalazłem też coś niezwykłego w tych ludziach, którzy – żyjąc w czasach faszyzmu i stalinizmu – wierzyli w czystość ducha.

Równie ważne jak motywy śląskie są dla Lecha Majewskiego potyczki z kulturą europejską. „Onirica”, w której odzywają się echa „Boskiej komedii” Dantego, zamknęła jego tryptyk „Rozmowy z mistrzami”. Przedtem był Bosch w „Ogródzie rozkoszy ziemskich” i Bruegel w „Młynie i krzyżu”.

- W każdym z tych filmów podjąłem z mistrzem z przeszłości rozmowę o współczesności, ale też o innym wymiarze sztuki niż ten, który obowiązuje teraz – mówi Majewski.

„Ogród rozkoszy ziemskich” jest oparty na jego powieści „Metafizyka”, napisanej w formie listu do osoby, której już nie ma. Bohater filmu zaczyna patrzeć na świat oczami niezującej dziewczyny, która była historykiem sztuki i studiowała malarstwo Boscha.

W „Młynie i krzyżu” Majewski uczył widza patrzenia na sztukę.

- W wiedeńskim Kunsthistorisches Museum godzinami wpatrywałem się w obrazy Bruegla. Aż tu pewnego dnia Michael Gibson przesłał mi swoją książkę o tym malarzu. Włożył w nią recenzję „Angelusa” w „Herald Tribune”, w której napisał, że mam brueglowską wyobraźnię. To było wyzwanie.

Dzięki kamerze „Droga krzyżowa” Bruegla nabiera życia, postacie zyskują przeszłość i przyszłość. Imponuje pieczołowitość, z jaką Majewski odtwarza realia XVI-wiecznej Flandrii. Uderza niewiarygodne piękno ożywionych kadrów. Cierpienie krzyżowanego Chrystusa łączy się tu z cierpieniem chłopaka katowanego przez żołnierzy. Jest w „Młynie i krzyżu” analiza procesu powstawania dzieła, ale jest też refleksja nad dziejami.

## Europa i jej kultura

Jego filmy prowokują, zmuszają widza do rozmowy z samym sobą. Lech Majewski sięga pod powierzchnię zdarzeń, interpretuje rzeczywistość za pomocą symboli, metafory. Jego wtopienie w kulturę Europy czuje się zresztą nie tylko w kinie, ale także w powieściach, m.in. tej, którą sam ceni najwyżej – „Pielgrzymce do grobu Brigitte Bardot cudownej”.

- Tam dotykam najczęściej tematów dziecięco-młodzieńczo-formatywnych. „Pielgrzymka...” to opowieść o synu szukającym ojca. Rzecz dzieje się w wymyślanym hotelu, w którym mieszkają rozmaite osobowości, takie jak Rabindranath Tagore, Picasso, Cezanne. Bohater z nimi rozmawia i uzmysławia sobie, że oni wszyscy są jego ojcami, bo zasiali w nim kiełki tego, co potem w nim wyrosło – mówi Lech Majewski. Czy nie o sobie?

Dzisiaj jest obywatelem świata. Większą część życia spędza w podróżach. Z tych wypraw wraca do Wenecji.

- Wenecja to kobieta – mówi. – Starzejąca się, pijana turystami, ale wciąż piękna. Wiek XX zrobił dużo, byśmy obcowali z brzydota. I ludzie zaakceptowali tę deformację. A ja mówię sobie: nie chcę z nią żyć. Dlatego przeniosłem się do Wenecji. Tu można poruszać się w innych wymiarach – w świecie znaczących obrazów i magicznie ułożonych kamieni.

A jednak, myśląc „dom”, Lech Majewski ma pod powiekami Polskę.

- Moi rodzice zmarli, zostało mieszkanie w Katowicach. Gdy jestem w kraju, staram się tam być. Urodziłem się w pokoju, w którym śpię. To jest moje miejsce pierwotne. Polska jest najbliższa mojej duszy. Gdziekolwiek jestem i cokolwiek robię, chwałę się, że jestem Polakiem. To jest naturalne jak oddychanie.

Gdy pytam, jak odbiera tę Polskę, do której wraca, mówi:

- Przeraza mnie poziom lęku, który znów towarzyszy społecznemu życiu. Drażni mnie mnóstwo rzeczy. Taka choroba dziecięca łapania najgorszych zachodnich trendów... Ale nie wchodzę w to. Pewnie społeczeństwo po transformacji musi przez to przejść.

Pisanie, wystawy, teatr, opera, kino. A jeszcze sztuki piękne, muzyka i wykłady. No i zbieranie pieniędzy na filmy, bo przecież wciąż sam je produkuje. Zastanawiam się, jak znajduje na to wszystko czas. Ale Majewski śmieje się, że jest człowiekiem leniwym. Mówi, że można robić znacznie więcej.

- Mam wrażenie, że stale odpoczywam. Pewnie to też zasługa mojej żony, Doroty, która we wszystkim mi pomaga.

Przygotowuje nowy projekt „Dolina bogów”. W Hollywood. To nie jest żadna wolta i zmiana nastawienia do kina. Po prostu bez Hollywood nie dałby rady tego filmu zrobić. Nie chodzi tylko o pieniądze, także o aktorów.

- Ale idę tam na swoich zasadach – zastrzega się. – To jest moja wizja.

Pytam jeszcze Lecha Majewskiego, jak widzi się za ileś lat, gdy do jego drzwi zapuka starość.

- Nie myślę o starości – odpowiada. – Przynajmniej niewiele. John Lennon napisał: „Życie to jest to, co ci się zdarza, gdy robisz inne plany”. Niedługo potem go zastrzelono. To była jego ostatnia piosenka, kołysanka dla syna. Dlatego staram się nie mówić o przyszłości. Ona zawsze jest wielką niewiadomą. ©©

